



PLANETA GROZY

Ilustrował: Ryszard Grach

Napisał: Zbigniew Dworak

Z oddali ten glob porażał wzrok zielenią – odwiecznym kolorem nadziei. W promieniach swojego słońca, niczym specjalnie nie wyróżniającej się gwiazdy, błyszczał na tle czarnego nieba niby szmaragd. Ta osobliwa zieleń planety wywołała niemałe zamieszanie wśród egzobiologów, kiedy rakieta Automatycznego Zwiadu Kosmicznego przesłała na Ziemię barwne obrazy układu planetarnego gwiazdy oznaczonej zaledwie numerem katalogowym.

Ponieważ gwiazda znajdowała się w odległości kilku parseków od Ziemi, zorganizowano dość pośpiesznie wyprawę załogową i z niecierpliwością oczekiwano bezpośrednich relacji z powierzchni nowo odkrytej planety... Niestety, pierwszy po kilkunastu latach komunikat, donoszący o wejściu na orbitę stacjonarną i przygotowaniu do lądowania, był zarazem ostatnim. I – co dziwniejsze – nie odebrało żadnego sygnału zagrożenia.

Zeglarze oceanu próżni znajdują się w storkroć niewygodniejszej sytuacji niż dawni podróżnicy i odkrywcy, niemniej tak nagłe zniknięcie statku w najbardziej nieoczekiwanym momencie zaniepokoiło i zdumiało ludzkość. Podczas gdy dziennikarze, których nastawienie do wszelkiego rodzaju wydarzeń nie zmieniło się od tysiącleci, wysuwali coraz to śmielsze hipotezy mające jakoby wyjaśnić zaginięcie wyprawy, naukowcy przystąpili do ponownego, niezwykle skrupulatnego sprawdzenia danych o zielonej planecie Verdianie.

Był to po prostu stracony czas. Żadnej znaczącej informacji o nowo odkrytym układzie planetarnym nie udało się uzyskać. Gwiazda jak gwiazda, Verdiana poza barwą też niczym osobliwym nie wyróżniała się spośród setek odkrytych dotąd planet. Uznano więc zaginięcie wyprawy za mało prawdopodobny, ale jednak możliwy przypadek katastrofy – innymi słowy – zawiedli, bądź zawinili ludzie...

Kiedy jednak kolejna wyprawa – pomimo zachowania szczególnych środków ostrożności – nie, żeby podejrzewano o coś planety, lecz tak na wszelki wypadek – przepadła w identyczny sposób, zatrwożono się już poważnie i poczyniono stosowne kroki w celu wyjaśnienia niezrozumiałych zaginięć, jakich już od

stuleci nie notowano. Przede wszystkim polecono dziennikarzom nawet nie wspominać o Verdianie. Było to nad wyraz rozsądne postanowienie – w rękopisach, szkicach doniesień, notatkach znalazły się tak radykalne hipotezy dotyczące rzezczonej planety, iż wielu uczonych, jak również pracowników Federacji Lotów Kosmicznych doznało szoku. W materiałach była na przykład mowa o zielonych promieniach śmierci, o agresywnie nastawionej do świata cywilizacji zasiedlającej rzekomo Verdianę, o magicznym znaczeniu koloru zieleni, o rezonansie gwiazdowo-planetarnym w zakresie promieniowania widzialnego... Ta ostatnia rewelacja wzięła się z niezbyt uważnego przekartkowania szkolnego podręcznika astronomii i ze zbyt wybujałej fantazji dziennikarza „Echa Kosmosu”.

Przygotowano trzecią wyprawę ubezpieczając ją na wszelkie możliwe sposoby, jakie podówczas były dostępne ziemskiej nauce i technice.

I znowu po latach podróży ogromna rakieta z zachowaniem maksymalnej ostrożności weszła na stacjonarną orbitę Verdiany. Przez długie tygodnie prowadzono obserwacje jej powierzchni. Nie okazało się to łatwe, co po części mogło przyczynić się do wyjaśnienia zaginięcia poprzednich wypraw. Tak więc stwierdzono, że dość często spowijają planetę gęste mgły, występujące w skali globalnej. Zielony odcień planety brał się natomiast, co już wyjaśniono uprzednio, z wszechobecności flory przede wszystkim intensywnością barwy – jaskrawo jasnozielonej, wręcz jadowitej... – także chimerycznością wyglądu i wielkością zajmowanego przez rośliny obszaru planety. Brak było pustyń i rozległych masywów górskich, brak także było wielkich, otwartych akwenów. Uderzała natomiast obfitość i rozmaitość rzek – od ogromnych, leniwie toczących swe fale, po małe, lecz o dużej powierzchni dorzecza. Jedynie kilkanaście rzek uchodziło do niewielkich, płytkich mórz – pozostałe rozgałęziały się tworząc olbrzymie delty łączące się z deltami innych rzek! Wykryto też tak zwany Wielki Kanał, przebiegający przez wiele delt i opasujący niemal cały glob. Woda

w Wielkim Kanale nie płynęła – martwość jej powierzchni naruszał tylko wiatr. O ile płynące rzeki miały z reguły barwę niebieskozieloną, o tyle woda w Wielkim Kanale była prawie czarna, co wywoływało skojarzenie bezdennej głębi. Wobec takiej obfitości płynących wód zrozumiałe było bogactwo świata roślinnego oraz częste występowanie mgieł. Nie mogło to jednak w pełni tłumaczyć przyczyn zaginięcia poprzednich wypraw, chociaż dawało powód, by przypuszczać, iż warunki lądowania są trudne. W sprzeczności poniekąd z tym stwierdzeniem był brak jakichkolwiek śladów lądowania. Najczulsze metody teledetekcyjne nie doprowadziły do wykrycia zaginionych statków lub chociażby pozostałości po lądowaniach. Przyszło więc założyć, że rakiety wodowały i z niewiadomych przyczyn zatoniły. Na wszelki wypadek postanowiono unikać owych nielicznych akwatorii, mimo iż z danych obserwacyjnych oraz z danych automatycznych sond opadających na powierzchnię mórz nie wynikało, że mogą one być szczególnie niebezpieczne. Należało jednak przyjąć jakąś hipotezę roboczą i raz jeszcze dokonać wyboru miejsca lądowania. Wkrótce okazało się – co zresztą już wstępnie sygnalizowały wcześniejsze ekspedycje – iż rejony okołobiegunowe, wolne od roślinności, nie nadają się do lądowania. Z wysyłanymi do tych rejonów sondami tracono łączność, a zdjęcia tych obszarów pokazywały osobliwie urozmaiconą powierzchnię, nie mającą odpowiednika na poznanych dotąd planetach.

Nieliczne masywy górskie nie wyglądały zachęcająco – stanowiły je albo strzeliste, nieprzystępne nagie turnie o stromych zboczach, albo też nieprawdopodobny chaos skalny, wśród którego darmo by szukać w miarę płaskiego terenu, odpowiedniego do wylądowania przynajmniej rakiety patrolowej. Kilka obszarów wyżynnych było pokrytych tak gęstą, splątaną roślinnością, przedziwnymi drzewokrzewami, że lądowanie mogłoby się zakończyć fatalnie. Dłta rzek, a właściwie owe niezliczone rozgałęzienia, w ogóle nie wchodziły w rachubę – eksplozja najdziwniejszych gatunków roślin tam właśnie osiągała swoje maksimum, skutecznie przesłaniając powierz-

chnię planety; prócz tego opary, fantazyjne pasma mgły nigdy w tych rejonach nie zanikały, poważnie ograniczając widoczność. Nawet użycie radaru czy aparatury noktowizyjnej nie poprawiło warunków widzialności – echa powracały, zamazane, rozmyte, nieustannie zmieniające się, tak iż przyszloby lądować na oślep bez możliwości przewidzenia, czy siada się na twardym podłożu, czy na grząskim brzegu rzeki.

Dżungle i selwy (odznaczające się ogromnymi drzewami, podobnymi do baobabów, o wysokości przekraczającej dwieście metrów i grubości pni – kilkunastu metrów; rozległości koron w ogóle nie udało się wyznaczyć z powodu wzajemnego ich przenikania się i splątania) również były niedostępne. Nie wiadomo było nawet, jak wygląda dolne piętro roślinności i warunki tam panujące – wszystkie sondy utknęły w... koronach tych drzew.

Pozostawały sawanny, podobnie jak morza i góry nieliczne, lecz i one wzbudzały niemal metafizyczny lęk. Żadne niespodzianki nie mogły raczej oczekiwać lądujących na sawannie raket – sondy opadały łagodnie i nie znajdowały symptomów zagrożenia, mimo to sprawa wyglądała nader podejrzanie: gdzie jak gdzie, ale właśnie na sawannie ślady lądowania nie mogły ulec pełnemu zatarciu, lecz sawanny wyglądały dziewiczo, stąd od razu napraszał się wniosek, że jednak nie lądowano na nich...

Dokonano wreszcie wyboru – zdecydowano się wylądować na niewielkim obszarze o dość regularnym, kolistym kształcie. Obszar przylegał do rozległej wyżyny poprzecinanej we wszystkich kierunkach głębokimi wąwozami i jarami. Wybrany teren wolny był od drzew, tylko gdzieś rosnęły kępy rozłożystych krzewów. Kilkanaście sond automatycznych zrzuconych na ten rejon nie wykryło żadnych oznak niebezpieczeństwa – monotonne, ciągle emitowane sygnały nie były zakłócone, aparatura pokładowa pracowała normalnie, przekazując informacje o najbliższym otoczeniu. Dane zebrane in situ potwierdzały rezultaty badań teledetekcyjnych. Podjęto decyzję lądowania. Statek, pozostawiwszy na stacjonarnej orbicie przekaźnik, wolno opadał na powierzchnię planety, przesyłając nieustannie do naj-

bliższej bazy oraz na Ziemię informacje o przebiegu operacji lądowania. Majestatycznie zniżająca się rakieta zetknęła się na moment z powierzchnią Zielonego Globu – czujniki natychmiast zasygnalizowały ten fakt, lecz jeszcze przez chwilę rakieta stała na słupie ognia gotowa wystartować przy najmniejszej oznace zagrożenia. Nic się jednak nie działo, jeśli nie liczyć tego, że statek spowił obłok dymu zmieszanego z mgłą. Łączność nie uległa zakłóceniu.

Wyłączono silniki. Rakieta osiadła. Czekało, póki nie rozwieje się obłok wokół statku. Nadal nic nie zwiastowało niebezpieczeństwa. A potem wydarzenia zaczęły biec w oszalamiającym tempie – łączność gwałtownie pogorszyła się, po czym ustąpiła bez widomej przyczyny. Nim jednak to się stało, ostatnie impulsy przyniosły na Ziemię wzburzone, przerażone głosy: „Co to?... Co to?!... Uwaga!...” Potem nastąpiła cisza i tylko przekaźnik orbitalny beznamyślnie emitował sygnały wywoławcze.

Na Ziemi wybuchnęła panika. Blokada informacji nie okazała się szczelna i wiadomość o zaginięciu trzeciej wyprawy dotarła do całej społeczności ziemskiej. Nagłówki telegazet krzychały: „PLANETA GROZY”, „KOSMICZNA PUŁAPKA”, „CZYŻBY ZIELONA CZARNA DZIURA?”, „CZY PRÓBA INWAZJI?!” – to tylko niektóre tytuły, te jeszcze do przyjęcia. Pod naciskiem ogółu i wobec psychozy, jaka ogarnęła nawet trzeźwe umysły, Federacja Lotów Kosmicznych wspólnie z Wszechświatową Akademią Nauk i Departamentem Ochrony Ludzkości – instytucją przestarzałą i właściwie zajmującą się dostarczaniem broni... myśliwskiej ekspedycjom badającym planety obdarzone życiem (fauną) – zorganizowała Czwartą Wyprawę.



Tak pokrótce przedstawiała się historia odkrycia i pierwszych trzech wypraw na zieloną „planetę grozy”, kiedy powierzono nam misję wyjaśnienia zagadki Verdiany. I oto właśnie wchodzimy na wokółplanetarną orbitę, śledząc w napięciu obraz obcego świata, jaki pojawił się na ekranach monitorów. Nie pierw-

szy raz go widzimy – wiele godzin spędziliśmy w informtece, odtwarzając bez przerwy zarejestrowane przez poprzednie ekspedycje wizjerunki oblicza planety. Ze szczególną uwagą wpatrywaliśmy się w zdjęcia przedstawiające miejsce lądowania ostatniej wyprawy. Był to właściwie wielogodzinny film, ale czas jego ekspozycji wydłużał się z reguły; często zatrzymywaliśmy zapis, cofaliśmy go, odtwarzaliśmy pewne fragmenty w zwolnionym tempie, usiłując dociec, co zaszło już po udanym lądowaniu. Film przedstawiał dokładnie moment zetknięcia się rakiety z powierzchnią globu, po czym statek został otoczony przez obłok, co było zupełnie zrozumiałe, lecz kiedy obłok rozwiął się, rakiety już nie było – widniały co prawda przez pewien czas ślady lądowania, ale tylko do zmroku. Gdy gwiazda centralna ponownie oświetliła miejsce lądowania, kamera na przekaźniku włączyła się automatycznie, lecz na filmie nie udało się już dostrzec żadnych oznak przebywania rakiety na planecie. W ciągu kilkunastu minut jeden z najdoskonalszych wytworów myśli ludzkiej, wyposażony w niezawodne systemy ostrzegawcze i alarmowe, rozplynął się w nicłość. Kilkaset klatek filmu przejrzelśmy szczególnie starannie, stosując maksymalne powiększenia, i tylko na niewielu klatkach zdołaliśmy zaobserwować coś w rodzaju zawirowania, zaś na jednej, jedynej klatce zobaczyliśmy dziwną, przezroczystą... kopułę, znajdującą się dokładnie na miejscu rakiety. Zresztą mogło to być złudzenie – oko usiłowało się doszukać jakiegokolwiek przyczyny zaginięcia statku i łączyło rozwiewające się fragmenty obłoku w określony kształt. Pomiarzy nie dawały podstawy, by sądzić, że kopuła istniała naprawdę. Margines błędów zmuszał nas do przyjęcia, że są to tylko fluktuacje tła. Niestety, czułość i zdolność rozdzielcza kamery były zbyt małe, toteż kiedy wreszcie na ekranach naszych monitorów pojawił się obraz obszaru lądowania trzeciej wyprawy, wszyscy porzucili chwilowo swoje zajęcia, gromadząc się przed monitorami. Trudno było jednak po tylu latach zauważyć coś osobliwego – monotonna, chociaż jaskrawa zielen, a przy większej zdolności rozdzielczej telekamer można było dostrzec bujnie rozrośnięte

krzewy, falującą trawę o dziwnym połysku, małe jeziora z opalizującą w odcieniach zieleni i błękitu wodą – i to było właściwie wszystko. Dziewiczy i tajemniczy kraj.

W odróżnieniu od poprzednich wypraw komandor Alan Warren polecił wprowadzić statek na orbitę polarną, chcąc mieć nieco lepsze warunki do obserwacji całej planety. Następnie komandor zarządził naradę, to znaczy wymianą informacji i hipotez na temat Verdiany. Jedynie część załogi zebrała się w Centralnej Dyspozytorni statku – pozostali uczestniczyli w dyskusji za pośrednictwem wideofonów nie opuszczając swoich stanowisk.

Pierwsze pytanie, nazbyt może lakoniczne w tej sytuacji, postawił Warren:

– Co dalej?...

– To znaczy, chcesz powiedzieć, czy mamy lądować, czy też postanowić coś innego? – zabrał głos przedstawiciel Departamentu Ochrony Ludzkości, Olaf Svensen.

– Tak!

– Lądować nie możemy – odezwali się naraz wszyscy piloci i nawigatorzy.

– Skąd taka stanowczość? – Svensen jakby był zdziwiony. Znowu kilka osób odezwało się jednocześnie. Uciszył ich socjolog Juan Rez:

– Nim zdecydujemy się na lądowanie, powinniśmy znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego nie powiodły się poprzednie próby, czyż nie tak?

– Sądzisz, że przynajmniej uczestnicy trzeciej ekspedycji nie zastanawiali się nad tym? I chyba nie byli gorsi od nas...

– To prawda. A jednak musieli coś szczególnego przeoczyć. Coś wyjątkowo specyficznego dla tej planety. A może zmyliło ich podobieństwo do naszej Ziemi: obfita roślinność, rzeki?...

– No, nie. Odkrywano przecież inne planety obdarzone życiem, nie tak co prawda hojnie, ale niespodzianek napotymano i na nich wiele i...

– Otóż to – wpadł Warrenowi w słowo socjolog. – Za dużo tej nadziei i optymizmu, podświadomego poszukiwania podobieństwa... Zresztą czy to w ogóle ma sens tak na oślep wyruszać do gwiazd? Wieczny pośpiech – odkryto urzekającą planetę, więc natych-

miast, bez najmniejszego wahania eksplorować ją bezpośrednio. Nie powiodło się, więc rusza następna wyprawa. I znowu kolejna wyprawa... A przecież lata dzielą te wyprawy, informacja dochodzi z ogromnym opóźnieniem. Najbliższe bazy są tak czy owak daleko. Pozostawiona swojemu losowi załoga statku międzygwiazdowego, chcąc nie chcąc, podejmuje ryzykowne zadanie nie mając możliwości przekonsultowania z kimkolwiek decyzji. Czy aby nie w tym leży przyczyna niepowodzeń?

Słowa socjologa wywarły większe wrażenie, niż on sam tego oczekiwał. Dłuższą chwilę panowało milczenie.

– A więc co, twoim zdaniem, należy uczynić? – zapytał wreszcie Svensen.

– Albo ja wiem? Na przykład rzućmy bombę w to przekłete miejsce...

Głos socjologa utonął we wrzawie oburzenia i protestów. Rez usiłował przekrzyknąć zgłęb, lecz dopiero Svensen zaprowadził jaki taki spokój.

– ...i to kto tak nam radzi? Kto przed chwilą doradzał rozwałę?! – brzmiał donośnie głos Svensena. – Owszem, to bardzo łatwe, lecz potem pozostanie już tylko wojna! A jeśli nawet nie, to ostatecznie zatrzymamy wszelkie ślady lądowania, może dla nas nieuchwytnie, ale na pewno istniejące. I nigdy już nie dowiemy się, co się wydarzyło.

– To mi się tylko tak powiedziało – bronił się socjolog. – I niejako wyłącznie pod twoim adresem, bo po to tu chyba jesteś, czyż nie?

Svensen, zrezygnowany, machnął ręką.

Nagle z głośników rozległ się nieprzyjemny, obcy dźwięk. Wszyscy ucichli.

– Co to? – zapytał ktoś niepewnie.

– Przelatujemy nad obszarem bieguna północnego – odezwał się dyżurny nawigator. – Jest to rejon anomalii magnetycznych i grawitacyjnych. A ukształtowanie terenu... Sami zobaczcie.

Juan Rez ożywił się. Patrząc na widniejący na ogromnym, głównym ekranie pejzaż pełen osobliwych kształtów, powiedział powoli.

– Czy właśnie nie tu należałoby wybrać miejsce pod przyszłą bazę? Uparcie staramy się uznawać jedynie analogie...

– Nie – przerwał komandor. – Dwie wypra-

wy temu skłonny byłbym tak samo myśleć. Teraz jednak nie mamy prawa ryzykować.

– Właśnie – odezwał się botanik Gleb Tichomirow – ta roślinność. Bujna, jaskrawa, jak nigdzie dotąd...

– Tylko proszę bez wdawania się w dywagacje o zielonych ludzikach lub o magicznym znaczeniu koloru zieleni – powiedział komandor. – Mamy spektrogramy. A zresztą... niczego już nie jestem pewien.

– Potrzebna jest zupełnie zwariowana hipoteza – zauważył ktoś półgłosem.

Ekran zapłonął olśniewająco jasnym blaskiem.

– Co...

– Przepraszam – rzucił pospiesznie nawigator – to tylko gwiazda centralna, tutejsze słońce. Przelączę kamery.

Na ekranach znowu pojawiły się obrazy planety. Zieleń, wszechobecna zieleń. Nawet obłoki i pasma mgły wydawały się zielone. Gdzieś tam bez śladu przepadły trzy rakiety.

– Załóżmy, że mamy do czynienia z nadcivilizacją tak rozwiniętą, iż nie potrzebuje ona już miast, ogromnych ośrodków przemysłowych, że woli życie na łonie natury, nie w sensie powrotu do stanu dzikości, lecz właśnie dlatego, iż jest tak bardzo potężna i mądra – przemówił jeden z elektroników, Bratislav Milanović, znajdujący się w sekcji maszyn matematycznych. – Łagodny klimat, zieleń, spokojne życie, można się poświęcić kontemplacji i medytacji. To nie jest mój pomysł – wyjaśnił. – Nie pamiętam, kiedy i w jakiej książce o tym czytałem, ale wydaje się to odpowiadać zastanej tutaj sytuacji. Rejony podbiegunowe mogą być ośrodkami ich energetyki jako obszary mniej przydatne do zamieszkania. Aha, nie znają oni pośpiechu, mają przed sobą wiele czasu, są zapewne długowieczni. Aż tu zjawiamy się i my szast-prast! – łądujemy znięna, i to jeszcze z jakim hukiem. Co pozostaje im uczynić? Nie chcą, żeby zakłócano im spokój, więc też raz dwa uruchamiają rezerwy energetyczne, otwierają tunel hiperprzestrzenny i pozbywają się rakiet. Stąd brak śladów i raptowna utrata łączności...

– Planeta „Trójkątów Bermudzkich”?

Tak? Ile wątków fantastycznych zamierzasz jeszcze wykorzystać?

– Mogę dalej nic mówić. A masz, komandorze, lepsze wytłumaczenie?

– No, dobrze. Ogromnie mądra i doświadczona rasa galaktyczna. Lecz po co taka izolacja? I okrucieństwo...

– Jakie znowu okrucieństwo? – zdziwił się Bratislav.

– A wysłanie trzech wypraw na „tamten świat”?

– Niczego podobnego nie twierdziłem! Może po prostu przenieśli ich do innej galaktyki, gdzie żyją sobie na jakiejś stosownej planecie i może nawet wysyłają do nas sygnały, lecz dotrą one za miliony lat. A izolacja? Socjolog opowiadał tu coś o bezsensowności naszych lotów, więc oni, jako rozsądniejsi, dawno już zapewne zaniechali wałęsania się po Drodze Mlecznej...

– Ach, tak? I to wobec możliwości dokonywania momentalnych skoków przez przestrzeń?

– Nie wiem, czy momentalnych dla nie biorących udziału w takiej translokacji. A poza tym nie mówię wcale o bogach. Nawet superinteligentne istoty nie będą wolne od wad.

– W porządku. Nie chcą nas. Nie mogliby jednak jakoś inaczej nas o tym powiadomić?

– Och, nie! – wmieszała się Anika Maurin, lekarz pokładowy – darujcie sobie tę dyskusję, to przecież nie ma najmniejszego sensu. Mój ojciec brał udział w poprzedniej ekspedycji i jeszcze przed opuszczeniem przez statek orbity zapewniał nas w ostatnim swoim doniesieniu, że jest to zupełnie normalna planeta. Przyczyna niepowodzeń tkwić musi w nas samych, lecz my wolimy udawać, że jest to „planeta grozy”.

Na ekranach przepływały monotonne w gruncie rzeczy obrazy powierzchni Verdiany. Milczeliśmy, zawstydzeni słowami Aniki. Narada utknęła w martwym punkcie. Posępnie wpatrywaliśmy się w zamglony krajobraz. Raptem wizerunek globu zafalował, zawirował... – siedzący w Dyspozytorni zerwali się ze swoich miejsc. Ekran na sekundę ściemniały, lecz natychmiast ponownie rozjaśniły się, chociaż tylko w połowie. Nim zorientowa-



liśmy się, co teraz widzimy, nawigator oznajmił:

– Trzecie okrążenie. Obraz w pobliżu terminatora wschodniego, południowa półkula. Proszę obserwować brzeg dysku planety – głos nawigatora zdradzał podniecenie. – W tamtym rejonie najprawdopodobniej rozpętała się burza.

Komandor Warren ocknął się z owego, jakby dziwnego letargu.

– Wystrzelić sondę automatyczną nad rejon burzy! – polecił.

Wszyscy ożyli się. Burza – to było coś nowego. W poprzednich raportach nie było najmniejszej wzmianki o gwałtownych zjawiskach meteorologicznych, chociaż było oczywiste, iż wobec tak osobiwej obfitości rzek musi następować intensywny obieg wody w przyrodzie tej planety. W nerwowym pośpiechu dociekania przyczyn zaginięcia jednej po drugiej ekspedycji nikt jakoś nie zwrócił uwagi na brak danych o opadach. I oto po raz pierwszy chyba w historii odkrywania Verdia-ny mieliśmy być świadkami burzy.

Obraz znowu zmienił się. Obszar globu ogarnięty burzą zdawał się pędzić na spotkanie z nami. Dostrzeżyliśmy, że warstwa wysokich chmur, ciemnych i nabrzmiałych, rozpościera się aż po rejon okołobiegunowy. Nagle osłepiające błyski wypełniły niemal cały ekran. Po chwili nastąpiły kolejne wyładowania, nieco słabsze. W ich blasku dostrzeżyliśmy skomplikowane warstwy chmur burzowych zwieńczonych na górnym pułapie sinofioletowymi, kalafiorowatymi naroślami podobnymi do cumulusów. Dolny pułap chmur zlewał się z szarą ścianą mgły i deszczu, a właściwie – ulewy przywodzącej myśl o światowym potopie.

Szczególną intensywnością odznaczały się wyładowania na granicy rejonu przybiegunowego, lecz nie były to znane z ziemskiego doświadczenia trwające niemal nieprzerwanie błyskawice, lecz raczej feeria błyskawic, chaotyczny fajerwerk... W miarę upływu czasu burza nasilała się, aż z górnego pułapu, owych kalafiorowatych utworów wyrastających ponad jednolitą warstwę obłoków, zaczęły iść wyładowania już wprost do jonosfery i w krótkim czasie strzelały w górę kilkudziesięciokilometrowej długości pioruny, rozgałęziające się po drodze wielokrotnie. Dopiero w ich blasku mogliśmy ocenić prawdziwy rozmiar i ogrom żywiołu, jaki rozszalał się w atmosferze Verdiana. Gwałtowność narastania burzy porażała nas, póki nie zdaliśmy sobie sprawy, że jest to proces z silnym dodatnim sprzężeniem zwrotnym! Nawałnica, wzmagając się nieustannie, trwała kilkadziesiąt minut, dopóki ten samopodtrzymujący się proces nie został wysycony. Koniec burzy był gwałtowniejszy niż sam jej przebieg. W pewnym momencie nastąpiło zawirowanie, które w mgnieniu oka ogarnęło cały skomplikowany układ chmur i przyakompaniowanie potwornego ryku (kolejne sondy wysyłane w rejon burzy wyposażone były w zewnętrzne detektory akustyczne) oraz w blasku jednej błyskawicy, lecz rozciągającej się na setki kilometrów, nawałnica szczyła nagle, a powierzchnię planety w rejonie burzy zalał istny potop.

Podczas następnego okrążenia stwierdziliśmy, że w atmosferze nie ma żadnego obłoku,

ale nad zatopionym obszarem podniosła się gęsta mgła.

– Ciekawe, jaka może być częstość występowania takich burz? – zapytał socjolog.

– Należy przypuszczać, że powtarzają się z dużym okresem – powiedział geofizyk Adam Otard. – Wynika to chociażby stąd, że nasi poprzednicy nic nie wiedzieli o tym fenomenie.

– Jesteś tego pewien? A co, jeśli któraś wyprawa lądowała tuż przed burzą? Utrata łączności jest nieuchronna w takiej sytuacji i trudno przewidzieć, czy rakieta ustoi przed podobnym huraganem, wyładowaniami, a na zakończenie potopem.

– Możliwe, lecz mało prawdopodobne. Poza tym nie tłumaczy to przypadków zaginięcia wszystkich ekspedycji, a odnoszę wrażenie, iż przyczyna zniknięć była w każdym przypadku taka sama – odparł geofizyk.

– Czy jest możliwe, żeby lądowanie rakiety uruchamiało mechanizm wywołujący nawałnicę? – zainteresował się Warren.

– Trudno powiedzieć. W pewnych przypadkach tak. Wątpliwe jednak, żeby to była reguła.

– Tak dobrze znasz meteorologię tej planety? – wtrącił socjolog.

– Na tyle, żeby móc stwierdzić, jaki jest ogólny charakter zachodzących procesów i warunków atmosferycznych – odpowiedział spokojnie Otard.

– Zawieśmy, proszę, tę dyskusję do jutra – zaproponował Warren.

Przerwaliśmy wymianę informacji. W rakiecie wkrótce zapadła cisza. Jakkolwiek wielkie było poruszenie wydarzeniami ostatnich godzin, dawał o sobie znać długotrwały trening i autodyscyplina, niezbędne w wyprawach międzygwiazdnych.

Nazajutrz ponownie usiłowaliśmy dociec przyczyn niepowodzeń naszych poprzedników i tak minęły trzy doby, a my ani na krok nie przybliżyliśmy się do rozwiązania okrutnej zagadki, jaką nam zadała Verdiana. Nie podjęliśmy również decyzji o lądowaniu, i to był chyba nasz jedyny sukces w tej wyprawie.

(Dokończenie nastąpi)



PLANETA GROZY

Napisał: Zbigniew Dworak

(Dokończenie)

Ilustrował: Ryszard Grach

O szóstej godzinie czwartej doby okrążania planety młody pilot Ramon Torrena opuszczając swoją zmianę i udając się na spoczynek zmienił zwykły rytm i, połączywszy się z komandorem, zakomunikował, iż chciałby się podzielić z nami pewną myślą, do jakiej doszedł w trakcie pełnienia dyżuru nawigacyjnego.

Pomimo wczesnej pory Warren obudził wszystkich prosząc o wysłuchanie przez interkom, co pilot Ramon Torrena ma do przekazania. Ten był nieco zmieszany, lecz rozpoczął swoją rzecz dość spokojnie.

– To, co teraz powiem, może jest nieistotne, ale być może nie jest też zbyt błahe. Zastanawiałem się nad nieudanymi lądowaniami, ciągle tylko o nich mówimy. Dlaczego w takim razie nie poświęcamy uwagi udanym lądowaniom?...

Te słowa sprawiły, że nikt nie czuł się więcej śpiący.

– Udane lądowania? – pytania padły jednocześnie.

– Proszę, nie przerywajcie – przywołał nas do porządku Warren.

– Miałem na myśli sondy automatyczne – wyjaśnił Ramon.

Na naszych twarzach musiało odbić się rozczarowanie, może nawet lekceważenie, co jednak nie zmieszało pilota, a wręcz przeciwnie, dodało mu jakby odwagi i Ramon przemówił twardym, metalicznym głosem, uprzedzając indagacje.

– Czy my, tak prawdę mówiąc, nie demonizujemy całej sprawy? Planeta grozy. Supercywilizacja. Zamiast szukać bardziej prozaicznych, a zarazem racjonalnych przyczyn, straszymy się wzajemnie, ostatnio niedawną burzą... Jedno bowiem mamy za pewnik niewzruszony: nie mógł to być błąd sztuki! Po części to prawda, zbyt są przecież identyczne te zniknięcia, częściowo zaś nie – zadziałać

wydawało się być błędem sztuki, stało się nim prawdopodobnie. Dowodzą tego udane lądowania sond. Czy powinniśmy dalej uprawiać tę *mystyfikację*? *Wysłuchiwać urojeń typu: sondy nie uległy zniszczeniu, ponieważ nie zawierały istot żywych; bądź też, iż automaty są jakoby lepsze od człowieka, o wiele bardziej niezawodne. Jedno i drugie to majaczenia! Statki sprowadzały do lądowania automaty i kto wie, czy to nie okazało się fatalne dla załóg – przecież autonawigatory odtwarzały program lądowania sond, a te lądowały pomyślnie. Nie wierzę natomiast w czyjś zły zamysł i przejrzenie, że sondy to automaty, a w rakietach znajdują się inteligentne istoty. Zresztą – dodał po chwili, kiedy nikt się nie odezwał uderzony trafnością wyводу – zamierzam to udowodnić.*

– W jaki sposób? – Warren był niezmiennie rzeczowy.

– Udam się na powierzchnię Verdiany jednoosobową rakieta. Od tego należało zacząć – dodał ciszej.

Nie zważał na protesty. Komandor słuchał ich z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

– Mógłbym ci zabronić – powiedział wreszcie. – Zbyt wielkie ryzyko...

Ramon wzruszył tylko ramionami.

– A niby po co tu jesteśmy? I nie zamierzam ryzykować ponad miarę, nie w głowie mi bohaterskie czyny, lecz w końcu co jeszcze możemy postanowić?! Wszyscy przecież doskonale wiemy, iż nie powrócimy, póki nie rozwikłamy tego splotu tajemniczych zniknięć. Jest Nieznane, więc naprzód, rycerze świętego Kontaktu – zakończył ironicznie.

– W porządku – uciał komandor. – Przekonałeś mnie. Prawie. Czego chcesz dla wypełnienia swojego zadania?

– Odpocząć. Dobrze się wyspać. Polecę za dwadzieścia cztery godziny. Przygotujcie, proszę, rakieta krótkiego zwiadu, tę dla planet obdarzonych atmosferą. Zamierzam lądować w pobliżu miejsca wybranego przez trzecią ekspedycję.

Kiedy Ramon udał się na spoczynek, egzo-

protestować:

– Co będzie, jeśli on zginie?

– Wtedy polecę sam! Tymczasem ogłaszam rozpoczęcie operacji „Zwiad”. Anika, proszę uciszyć swoje wzburzenie i przygotować bioczujniki dla Ramona. Dotknęło cię, że swą wypowiedzią Ramon godzi pośrednio w cześć twojego ojca? Czyni przecież to samo, co on. I nie uważam, żeby miał naszych poprzedników za mniej rozważnych. Wierzę, że wyjaśnimy nie tylko przyczynę, ale i mechanizm zniknięć, który doprowadził do potrójnego niepowodzenia.

* * *

Przed startem Ramon urządził piekielną awanturę, jakiej dawno już nie oglądano na pokładach statków międzygwiazdnych. Polecił wyrzucić z rakiety wszystko, co jego zdaniem było zbędne i uzupełnić zwolnione miejsca zapasami materiałów pędnych.

– Mówiłem przecież, że nie zamierzam zostać bohaterem!

– Będzie ci niewygodnie – upierał się dyspozytor wyrzutni.

– Wolę niewygodnie żyć, niż wygodnie umierać!

Komandor uśmiechnął się tylko nieznacznie, lecz nie interweniował nawet wtedy, kiedy Ramon wyrzucił wszystkich zebranych z dyspozytorni lotów małego zwiadu.

– Wykonuję po prostu to, co do mnie należy. A na kondukt żałobny i opłakiwanie cokolwiek jeszcze za wcześniej, więc wynoście się... do stu tysięcy planet grozy!

Początkowo lot zaniepokoił nas. Rakieta opadała gwałtownie, lecz automatyczny pilot monotonnie podawał dane, zaś Ramon zachowywał się tak, jakby przeciążenie nie jego dotyczyło. Potem rakieta przeszła nagle do lotu poziomego, wykonała kilka ewolucji w atmosferze planety i słychać było, jak na tle wyraźnych sygnałów pilota automatycznego Ramon półgłosem sypie z niewiadomego powodu przekleństwami, a następnie odezwał się zupełnie spokojnie:

– Przejmuję ręczne sterowanie. A propos,

zdjęcia mimo całej naszej techniki niewiele są warte.

Rakieta zniżala się podchodząc do miejsca lądowania trzeciej ekspedycji.

– Przekłeta zieleni, mieni się tylko w oczach... Aha, tutaj jest coś ciekawego! Przekazuję obraz.

I wtedy zobaczyliśmy niewielkie, kopulaste budowle... Ktoś, prawdopodobnie egzobiolog, zakrzyknął:

– Ramon, ostrożnie!

Rakieta świecą wystrzeliła ku zenitowi i znowu usłyszeliśmy niewyraźne przekleństwa, po czym Ramon zawołał:

– Co tam znowu!? Bez paniki! Przeszkadzacie mi pracować. Kopuły jak kopuły. Ani to cerkiew, ani to obserwatorium..

Tymczasem na podręcznym monitorze komandora główny komputer wyświetlał dane. Rzeczywiście, niczego podejrzanego w wyglądzie tych kopuł nie było. Stały sobie w cieniu rozłożystych, parasolowatych drzew, nad brzegiem rzeki płynącej nie opodal lądowiska trzeciej wyprawy.

– Wszystko nie tak, jak miało być! – oznajmił z niezadowoleniem Ramon, kiedy otrzymał dane z głównego komputera. – Podejrzanego jest istnienie kopuł, lecz nie one same. To nawet interesujące. Niech będzie. Spróbuję znaleźć kawałek miejsca do lądowania.

– Zezwalam – rzucił krótko Warren, nie bacząc na nieufność egzobiologa do nowej niespodzianki, jaką zgotowała nam Verdiana.

Teraz rakieta opadała powoli. Rozpościerający się w jej nadirze teren obserwowaliśmy na dwóch ekranach. Jeden pokazywał obraz z kamery zainstalowanej na naszym statku, drugi – z kamery rakiety patrolowej. Na pierwszym obrazie kopuły były niewidoczne, na drugim z trudem dawały się rozpoznać, i to tylko dlatego, że już wiedzieliśmy o ich istnieniu. Widocznie kopuły można było dostrzec patrząc pod określonym kątem i z niezbyt dużej odległości.

– Kopuły – powiedział w zamyśleniu planetolog Casimir Marvin. – Tak, coś jakby podobnego zauważyliśmy na jednej z klitek filmu wykonanego przez kamerę stacjonarnego przekaźnika.

– Dajże spokój – odezwał się beztrząsko Ramon. – Ułudy kontaktu. Fantasmagorie dwudziestego wieku. I nie próbujcie interweniować! Mrowiska na przykład też są kopulaste.

Inteligentne mrówki! – tak instynktownie większość zapewne pomyślała, ale paru osobom słowa te wymknęły się nieopatrznie z ust, na co Ramon zareagował żywiołowym wybuchem śmiechu.

– Oczywiście! Superinteligentne mrówki! A może mrówkoludy? – zapytał szyderczo. – Wyrzucanym ze swych wnętrza kwasem w mig rozpuszczali korpusy raket, a członków załogi obrali do samych kości...

– Przestań, Ramon! – krzyknęła nieswoim głosem Anika.

– Przepraszam – mruknął Ramon tracąc po raz pierwszy pewność siebie.

Zapadła cisza. Niespokojnie obserwowaliśmy ekrany. Na obrazie, przekazywanym z rakiety patrolowej za pośrednictwem stacjonarnego przekaźnika, powierzchnia wybranego obszaru szybko rosła i zmieniała się zadziwiająco. Niemal przez pół przecinała obszar wstęga rzeki, powoli toczącej swoje wody. Znowu przez moment widzieliśmy wyraźnie kopuły. Ramon manewrował rakieta w poszukiwaniu lądowiska.

– To jest prawdziwe zielone piekło. Nowa Amazonia – komentował obraz Ramon. – Nie wiadomo, jak tu siadać. Ha, naprawdę człowieka zaczyna ogarniać zgroza, kiedy na to z bliska patrzy. Kto wie, czy nie lepiej byłoby szukać miejsca w skalistych turniach.

Obraz nagle zmienił się. Zobaczyliśmy rzekę łukiem wyginającą się w stronę terenu lądowania trzeciej ekspedycji.

– Widzę cypel skalny nad rzeką. Tam spróbuję...

Manewr lądowania Ramon przeprowadził precyzyjnie. Niewiele miał miejsca, jednak zdołał posadzić rakieta w równej odległości od wszelkich rzeczywistych i ewentualnych niebezpiecznych obiektów.

Kamera przekazywała obraz otoczenia. Wspaniała, dziewicza przyroda, monumentalna i groźna zarazem...

– Co z tobą, Ramon?



– Kontempluję obcy świat. Wszystkie czujniki w normie. Niestety, będę musiał opuścić raketę, inaczej nie dowiem się niczego.

– To może być... Sam wiesz. Czy statek nie potrafiłby w tym samym miejscu wylądować?

– To będzie bardzo trudne i mimo wszystko niebezpieczne. Wychodzę.

– Poczekaj!...

Nie zwrócił nawet uwagi na wezwanie.

– Wyniosę poza raketę dodatkową kamerę automatyczną i przekaźnik, żeby zawsze i bez przeszkód mieć z wami łączność.

Śledziliśmy jego poczynania. Operacja „Zwiad” wydawała się przebiegać pomyślnie. Teraz Ramon stał się małowówny. Ustawiał kamerę i przekaźnik, podłączał zapasowe zdalne sterowanie, po czym podszedł do... rzeki.

– No, no! Ależ zoologowie będą tu mieli używanie – usłyszeliśmy jego radosny głos. – I botanicy... I w ogóle egzologowie. Fantastyczny świat roślin i zwierząt! A jaka tu wilgoć, parno i duszno, ultratropikalny klimat. A reumatyzmu i febry można tu chyba w jeden dzień się nabawić. Skąła za to solidna – dodał po chwili. – Udamę się w przeciwnym kierunku.

– Ramonie!

– Tak.

– Zniknąłeś z pola widzenia.

Milczał przez chwilę.

– To nic – odezwał się wreszcie. – Teren jest nierówny, a kamera ma ograniczony kąt widzenia. Przecież to tylko automat. Podrzuce do góry kamień...

– Jest!

– Tak, jak mówiłem – zakończył zwięźle Ramon. – O! Dalej skąła uchodzi pod wodę. Od strony głównego nurtu rzeki grunt jest grząski, a z drugiej strony nie lepiej. Zwracam...

Ramon zamilkł bez wyraźnego powodu, a po chwili dobiegły nas jakieś nieartykułowane dźwięki, potem coś w rodzaju – „no, puszczaj...” – i już zupełnie nieoczekiwanie usłyszeliśmy jakby stłumiony śmiech, aż wreszcie Ramon odezwał się, lecz jego głos brzmiał dziwnie śpiewnie, zaś słowa...

– ...kadryl... dwa kroki do przodu, skłonu ku partnerowi... taak. Rzeczywiście dostoyny

kadryl, tylko nie nadeptuj mi na palce! Czemu wleciesz się tak? – rzekła do ślimaka białoryba. – Ten morświn, który nas dognał, na ogon wdepnie ci chyba...

Zamarliśmy. Co to ma znaczyć? Oblęd? Tajemnicza euforia narkotyczna? O czym Ramon mówi?...

– Ależ on cytuje „Przygody Alicji w Krainie Czarów”! – zawołała nagle Anika.

Na to Ramon roześmiał się, po czym najwyraźniej zwrócił się do kogoś:

– No chodź! Pora cię przedstawić.

– Ramonie, z kim ty rozmawiasz?

– A, jest tu taki szalenie sympatyczny, niezmiernie ciekawski i towarzyski żółwiciel...

– Nie! On zwariował – zakrzyknął ktoś, lecz w tym samym momencie Ramon pojawił się na ekranach. Rzeczywiście obejmował się z kimś, na razie niewidocznym, i przytupując tańczył zawzięcie. Na ten widok buchnął śmiech.

– Śmiecie się, śmiecie! Co ja temu bydlęciu uczyniłem, że tak sobie mnie upodobało? Nie ustoi ani sekundy bez ruchu, tylko wciąż posuwicie podryguje. No, podejdź bliżej, niech cię zobaczą.

Na ekrany wypełzła zabawna morda i z nieukrywaną ciekawością patrzyła w naszą stronę. Ramon szamotał się z tym dziwnym stworzeniem, chcąc, żebyśmy go w całości zobaczyli. I faktycznie, stworzenie przypominało nieco Żółwiciele wymyślonego przez Carrolla. Nie widzieliśmy tylko dolnych kończyn.

– Z gatunku gadów – zaczął egzobiolog. – Typ... – i dalej posypały się same uczone słowa.

– Skąd to wiesz!? – zawołał Ramon. – Niby gad, a łapy ma jak u płazów. To zapewne te żółwiciele budują kopuły! – dodał. – I wydają się dość inteligentne.

Skonsternowany egzobiolog zamilkł.

– Dobrze, już dobrze. Wracaj do swojego kopolastego domu – Ramon popchnął delikatnie zwierzę, które, wyrzuciwszy z siebie serię dźwięków, oddaliło się tanecznym krokiem. Ramon w zamyśleniu patrzył w ślad za nim.

– Swoją drogą coś w tym musi tkwić – podjął Ramon po dłuższej chwili.

– W czym? – zdziwił się socjolog.

– Jeszcze nie wiem. Tylko na razie żadnej grozy, poza nieprzychylnym klimatem, tu nie znajduję. Wskazuje na to pośrednio zachowanie się żółwiciela.

– Błyskawicznie przyswoiłeś sobie elementy zoopsychologii obcej fauny – zauważył sarkastycznie egzobolog.

– Nie taki bowiem diabeł straszny... – odciął się gniewnie pilot. – Zresztą nie mam czasu na dyskusję. Wyruszam do miejsca lądowania trzeciej wyprawy. Zajmie mi to zapewne sporo czasu, a wolałbym wrócić przed zachodem tutejszego słońca. Łączność na fonii, a póki będę w zasięgu kamery, również na wizji. Obciążać się nie zamierzam. Szerokie, płaskie stopy, to wzbudza moją nieufność – dodał bez związku i wyruszył, kierując się przez wolne od zwartej roślinności przejście ku wybranemu obszarowi.

– Ogromnie trudno poruszać się – komentował. – Póki jeszcze było skaliste podłoże, nieciężko było posuwać się. Teraz jest tylko śliska trawa oplatająca się wokół nóg. Pełno owadów i drobnych zwierzątek. Po obu stronach ciągną się nieprzystępne zarośla, wołę się do nich nie zbliżać. Gorąco. Najchętniej zdjąłbym hełm, bo tlenu tu więcej niż na Ziemi.

– Ani się waż!

– Ani myślę – roześmiał się Ramon. – Pojawily się kępy jakiegoś pierzastego sitowia – komentował znowu. – A może to zwierzęta? Od nadmiaru wrażeń brak mi już słów i nawet nie usiłuję sobie wyobrazić, co się znajduje poza tak otwartą przestrzenią jak ta.

Raptem na monitorach rozbłysło oslepiające światło i zaraz ekrany pokryły się ciemnymi, ruchliwymi punkcikami.

– Co to było? – zapytał komandor.

– Pseudoważ. Ogromny! Woląłem nie sprawdzać, jakie ma usposobienie.

– Ledwie stanęliśmy na tej planecie, już zabijamy – odezwał się z goryczą egzobolog.

– Nie lubię taniego humanitaryzmu – odparł ze złością Ramon i zamilkł na dłuższy czas.

– Widzę niewielki pagórek – zakomunikował ponownie, już spokojnym głosem. – Wejść na niego i rozejrzeć się po okolicy.

Słyszeliśmy nieco przyspieszony oddech,

potem jakby westchnienie ulgi i nagle rozległ się głuchy łoskot, a jednocześnie Ramon zakrzyknął:

– A niech cię!... To jakiś żółw ogromny, któremu przeszkodziłem w drzemce. Nie obawiajcie się, nie będę go karał doraźnie. Nim spadłem, zdołałem dostrzec jednak jakieś jeziorko położone dość blisko i nie opodał zagajnika pióropuszczołowych drzew. Wyglądało raczej niezwykle.

W polu widzenia kamery znów pojawił się żółwiciel. Krążył jakby czymś zaniepokojony, po czym oddalił się i zniknął.

– Wydaje mi się, że twój nowy przyjaciel stęsknił się już za tobą – zażartował Warren.

W odpowiedzi rozległo się głośnie mlaśnięcie, coś zabulgotało i zachlupotało, potem dobiegł nas plusk i krzyk, który urwał się mocnym przekleństwem. Słychać było obrzydliwe cmoknięcia, syk i szum.

– Ramon?! – rzucił niespokojnie komandor.

– Otóż leżę w bagnie przesyconym mineralną wodą. Musuje i usiłuję wciągnąć mnie. Próbuję się ostrożnie przekręcić – raportował beznamiętnie Ramon, lecz dawało się wyczuć w jego głosie napięcie. – Przygotujcie sondę bez aparatury, ale porządnie obciążoną i wystrzelcie ją w sam środek tego przekłętego terenu. I niech spada bez spadochronu.

– Po co ci to?!

– Mnie może już na nic, bo do zbawczych drzew za daleko, ale wy obserwujcie pilnie, co się stanie, kiedy sonda upadnie na powierzchnię planety. Spieszcie się, może jeszcze zdąży skomentować upadek sondy.

– Ramonie! – w głosie Aniki zabrzmiała trwoga. – Dlaczego?...

– Boję się. Boję się myśli, jakie mi teraz przychodzą do głowy. Grzęznę, rozumiecie.

Nikt z nas nie zrozumiał go właściwie, ale szybko przygotowaliśmy sondę i drugą raketę patrolową, co też oznajmiliśmy Ramonowi.

– Dziękuję, ale będzie już chyba za późno – powiedział ze sztucznym spokojem. – Chociaż... Nie chcę ani was, ani siebie łudzić, lecz moja sytuacja jakby przestała się przynajmniej pogarszać.

I znowu usłyszeliśmy nieartykułowane dźwięki – coś jakby „hrrjach” – a potem zdziwiony okrzyk Ramona, który zagłuszyło ciężkie posapywanie. Ponownie rozległo się odrażające cmokanie, bulgotanie...

– Jak ja ci się odwdzięczę?! – wołał Ramon.
– Chyba znowu zatańczę kadryla...

– Dlaczego, komandorze, tak spokojnie tego słuchasz?! – to Anika napadła na Warrena.
– Tam na dole dzieje się coś strasznego, a pan siedzi beczynnienie! Ramon albo stracił rozsądek, albo, albo... – zająknęła się, po czym dokończyła bez sensu – lądujemy natychmiast!

– Nie, tylko nie to! – przerażony głos Ramona rozległ się w każdym zakamarku statku.
– Duże rakiety nie mogą lądować! Wystrzelcie sondę!

– Duże rakiety nie mogą lądować? – powtórzył Svensen.

– Tak! Zaraz postaram się wam wyjaśnić, dlaczego, tylko odejdziemy z żółwicielem dalej od tego przeklętego miejsca. O Boże, jakie to wszystko okazuje się proste, a my doszukiwaliśmy się nie wiadomo czego. Grozy! To mnie ogarnia zgroza, kiedy pomyślę o naszym zadufaniu, a tak naprawdę to o głupocie. Gubi nas pośpiech oraz wybujała wyobraźnia...

– Uwaga! – przerwał Warren. – Sonda X została wystrzelona.

– Wracam do rakiety i zaraz po eksperymencie startuję.

Dalej słyszeliśmy tylko przyspieszony oddech i przyciszony głos Ramona, który czule przemawiał do żółwiciela – żegnał się z nim. Nam rzucił tylko „gotowe”, kiedy znalazł się w rakiecie. Wszyscy w napięciu czekaliśmy na wynik eksperymentu, którego idea nadal pozostawała dla nas niejasna. Domyślaliśmy się, że Ramon chce sprawdzić, jaki będzie efekt upadku obciążonej sondy na powierzchnię Verdiany. Jednak statki lądowały łagodnie?!

– Widzę sondę. Uwaga!

I sonda spadła z wielką prędkością... I nie roztrzaskała się! Podniósł się obłok pary, potem dostrzeżliśmy zawirowanie, sonda zamilkła i stało się. Zniknęła.

Tuż przed momentem upadku sondy Ramon poderwał swoją raketę. Dwukrotnie zatoczył koło nad dziwnym obszarem, po czym

bez słowa skierował się w stronę statku. Wylądował na zapasowej platformie, do wnętrza wszedł przez specjalną śluzę, zrzucił umazany błotem skafander i długo brał prysznic. Tymczasem operator przyniósł nagrane taśmy magnetowidu, na których był zarejestrowany upadek sondy.

Kiedy pilot zjawił się wreszcie w Głównej Dyspozytorni, zaległa głucha cisza. Ramon upadł raczej na fotel niż usiadł, powiódł po nas zmęczonym spojrzeniem i bezbarwnym głosem powiedział:

– Sami jesteśmy winni zagłady trzech wypraw. Mam na myśli Ziemię i jej mieszkańców, nie bezpośrednio nas. Zastanówmy się, jak może wyglądać naprawdę powierzchnia planety, na której płynie tyle osobliwych rzek, na której brak jest większych mórz, za to istnieje niezwykle Wielki Kanał? Planeta, na którą obruszają się straszliwe nawałnice, jej powierzchnia pokryta jest przebogata roślinnością, a atmosfera przesycona wilgocią? Ogromne bagno, jedno wielkie trzęsawisko! Sądziliśmy, domyślaliśmy się istnienia bagien i błot, ale tylko w rejonach delt, pseudodelt, rozlewisk i rozgałęzień rzek. Tymczasem bagna mogą zajmować znaczną część powierzchni Verdiany. Podejrzewam, że i dna mórz są grząskie, szczególnie pod przybrzeżnymi wodami. A owe płaskie równiny to wręcz pułapki – prawdopodobnie zarośnięte bagna lub jeziora. Fatalny zbieg okoliczności spowodował, że poprzednie wyprawy trafiały właśnie do tych pułapek. Oraz pośpiech. Odkryto piękną planetę, więc pierwsza ekspedycja ląduje: gdzie? – na równinie zapewne – i przepada. Przybywa następna i również znika bez śladu. Trzecia ekspedycja stara się już być bardziej rozważna, lecz kolejne eliminacje miejsc nie nadających się do lądowania, na połowy kosmodrom, znajomość rzeczy okazała się niezupełna, niestety, i raketę spotkał los poprzedniczek. My zaś wymyślaliśmy coraz to fantastyczniejsze hipotezy... – Ramon umilkł i rozłożył ręce.

– Przyjmijmy, że tak było – odezwał się Svensen. – Jak jednak wytłumaczyć zanik sygnałów i brak prób ratowania się?

Uprzedził Ramona geofizyk.

– To można wyjaśnić. Sondy opadały na

spadochronach i chociaż nawet pobierały próbki gruntu, nie było możliwości sprawdzić, iż pod paro- czy nawet kilkunastometrową warstwą znajduje się topiel. Zwiad automatyczny – mamy to zaprogramowane już w nas samych, nie tylko w pokładowych komputerach. A następnie ląduje masywna rakieta. Z reguły wznosi ona gęsty obłok pyłu i dymu, a tu jeszcze oparów. Czujniki sygnalizują łagodne lądowanie. Zbyt łagodne – powiedziałbym. – Pod działaniem rakiet hamujących warstwa niby gruntu zostaje przebita, a masa statku dokonuje dzieła. Rakieta pogrąża się w grząskie bagno, a jeszcze nic nie sygnalizuje niebezpieczeństwa. Potem jest już za późno. Sygnały natomiast zanikają dlatego, ponieważ woda przesycona jest solami, w tym związkami żelaza. Po prostu elektrolit, słaby, lecz w bardzo dużej ilości. I statek ani nie może się wydostać ze straszliwej pułapki, ani o tym powiadomić Ziemi...

– Jakże to? Przecież statek jest sprawny! Wystarczyłoby uruchomić silniki...

– Wysoce ryzykowne. Dysze są już zatka-
ne, zamulone. Nawet jeśli włączenie silników
nie rozsądzi statku, to tylko pogorszy jego
sytuację. Wystarczy nawet dość niewielkie
odchylenie od pionu, żeby rakieta, zamiast
wystartować, zaryła się jeszcze beznadziejniej.
Bardziej prawdopodobna jest jednak eks-
plodacja.

– Powinny więc pozostać jej ślady! – zakrzyknął wzburzony egzobiolog.

– I ty to mówisz? – zdziwił się milczący
dotąd Warren. – Po tylu latach t a k a roślin-
ność z powrotem pokryje wszystko. Zresztą
ostatni statek nie eksplodował. Przekaznik bez
wątpienia odnotowałby ten fakt.

– I to jest właśnie najgorsze – cicho dopy-
tywał socjolog.

– Jak?... Co?... Dlaczego?... – odezwało się
kilka osób naraz.

– Pomyślcie. Statek jest nieuszkodzony.
Nie może tylko startować. Zapewne główny
komputer zablokował stos. Ale statku nie
można opuścić. Nie można nawiązać łącz-
ności...

– Okropna śmierć – powiedział ktoś,
wstrząśnięty wizją, jaką roztoczył Rez.

– Nie! Może być znacznie gorzej. Przecież
statek jest w pełni autonomiczny. Zrozumcie!
Oni mogą nadal żyć!

– To potworne! To niesamowite!... – Anika
zerwała się, jakby zamierzała dokąś
pobiec.

Warren podszedł do niej.

– Uspokój się, Aniko. Nie wszystko jest
jeszcze stracone, w takim razie...

– Nie, nie, ja wiem, co Rez chciał powie-
dzieć, co miał na myśli – zawołała z rozpaczą
Anika. – Jaką oni tam roślinność prowadzą!
Jakie mogły się pojawić efekty uboczne. Po
tylu latach... Czy potrafią być jeszcze nor-
malni?

– Uspokój się – powtórzył cierpliwie War-
ren. – Mają przecież anabiozatory.

– Ale z nich nie skorzystają w porę, bo nie
wiedzą dokładnie, co się zdarzyło, bo próbują
znaleźć wyjście z tej sytuacji, bo wreszcie
czekają!... Być może część załogi umieszczono
w anabiozatorach – ochłonęła nieco – jednak
w to wątpię. Każdy prawdopodobnie będzie
uważał, iż może być potrzebny. A jeśli błoto
przez dysze przenika do wnętrza?...

– Zablokują grodzie.

– Lecz w ciągu tylu lat stos może wyjść
spod kontroli, właśnie dlatego, że przez dysze
wtargnęło błoto wraz z tym elektrolitem. I co
wtedy? Powolna agonია. Coraz mniej energii,
coraz mniej tlenu... – i nie mogąc się dłużej
opanować, Anika wybuchnęła płaczem.

– I oto mamy groźbę tej planety – powiedział
ktoś ledwie dosłyszalnym szeptem.

Ramon jednak usłyszał. Podniósł się, pod-
szedł do Aniki, objął ją.

– Proszę się nie martwić – powiedział
z rzadko spotykaną u niego łagodnością. – Dla
małych rakiet przygotujemy polowe kosmo-
dromy w górach, na wyżynach, wreszcie w re-
jonach okołobiegunowych, bo przecież i tę
zagadkę musimy rozwiązać. I dotrzemy do
pogrążonego statku. Weźmiemy tę planetę nie
szturmem, lecz sposobem. Tylko na co nam
ona?... – zakończył ciszej.

Zrozumieliśmy, co miał na myśli. W milcze-
niu spoglądaliśmy na ekrany, na których wid-
niały zdradliwie kuszące obrazy szmaragdowej
planety grozy.